№ 5. WARSZAWA, 14 KWIETNIA 1906 R. ROK I.

PRZEGLĄD SPOŁECZNY

Tygodnik naukowo-literacki, społeczny i polityczny.

PRENUMERATA:

w Warszawie: z odnosz. do domu	r. k.	Z przes. pocztową:	r. k.
Rocznie	7 60	Rocznie	9 —
Kwartalnie	1 90	Kwartalnie	2 25
Miesięcznie	— 65	Numer pojedyń.	— 20
Numer pojedyń.	— 15	Za zmianę adresu	— 22

PRZEGLĄD SPOŁECZNY WYCHODZI CO SOBOTA.

Adres Redakcji i Administracji
BRACKA Nr. 12.

OGŁOSZENIA po k. 10 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście k. 30 za wiersz petitu. NADESŁANE na 1 stronicy przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10 do 5—prócz świąt

W interesach redakcyjnych porozumiewać się można od 3-ej do 4-ej

DROBNE RĘKOPISY NIE ZWRACAJĄ SIĘ.

Szanownych Prenumeratorów prosimy o nadsyłanie przedpłaty, a także adresów dla №-ów okazowych.

O RÓWNE PRAWO WYBORCZE.

Tylko co ukończone zostały w parlamencie wiedeńskim walne debaty nad reformą prawa wyborczego. Pod wpływem sytuacji, jaka wytworzyła się na Węgrzech, wypadków rozgrywających się w Rosji, i pod naciskiem energicznej akcji ze strony społecznej demokracji, która wszystkie powyższe momenty wyzyskać potrafiła, rząd austrjacki, jak wiadomo, wniósł projekt powszechnego, równego, bezpośredniego i tajnego prawa wyborczego. Przedłożenie rządowe spotkało się z opozycją wszystkich sfer, zainteresowanych w utrzymaniu dotychczasowych przywilejów, z Kołem Polskiem na czele. Wypowiedziano wszystko, co można było powiedzieć przeciwko powszechnemu i równemu prawu głosowania, obrońcy jego sposobność mieli do odparcia wszelkich zarzutów i wątpliwości. Śledzenie rozpraw tych było wyborną szkołą polityki, poglądowym, na konkretnych i aktualnych stosunkach opartym wykładem pewnej części nauki prawno państwowej. Pomijając to, w czem wyrażały się tylko manewry taktyczne partji, obłuda lub świadoma perfidja przywódców stronnictw, wrogo względem reformy zachowujących się, zapoznamy tu czytelników tylko z zasadniczemi mającemi trwalsze i ogólniejsze znaczenie, punktami wywodów w parlamencie i prasie.

I.

Prawo naturalne.

Przedstawiciel wielkiej własności ziemskiej dr. Grabmayr powiedział między innemi o równem prawie głosowania, że jest to „popularne, ale pozbawione istotnej podstawy hasło bezmyślnej masy“, mającem źródło w przestarzałych dawno pojęciach prawa naturalnego. „O ile w twierdzeniu tem, że równe prawo wyborcze jest wymaganiem sprawiedliwości — mówił rzecznik niemieckich obszarników — wyraża się echo dawnej teorji prawa naturalnego, teorji t. z. praw wrodzonych, to twierdzenie to wraz z całem prawem naturalnem zaliczyć należy do dawno przeżytych rzeczy. Nauka nowoczesna nie zna żadnego prawa naturalnego ani żadnych praw wrodzonych“.

Jaka nauka? odpowiada mu Arbeiter Zeitung. Zapewne, nauka, która zakwitła w okresie romantyki i reakcji, i która jeszcze w r. 1870 — 1880 jako historyczna szkoła prawa dość powszechną powagą się cieszyła. Ale od tego już czasu zaznaczył się zwrot przeciwko wyraźnej jednostronności i ciasnocie szkoły Savigny'ego, przestano potępiać bezwzględnie teorję prawa naturalnego, która miała tak świetnych przedstawicieli, jak Hobbes, Locke, Rousseau, która przez szereg stuleci panowała nad umysłami, przyczyniła się niemało do budowy nowoczesnego państwa konstytucyjnego, której zawdzięczamy mnóstwo instytucji prawnych. Jeżeli dotąd za zadanie nauki prawa poczytywano tylko z katedry wykładać to prawo, jakie przekazała historja lub samowola panującego stworzyła, prawo to dla użytku poddanych systematyzować i objaśniać,—to teraz samemu prawu postawiono zapytanie o jego prawomocności, doszukiwać się w niem zaczęto jego podstaw socjalnych, etycznych i psychologicznych: skąd bierze się samo prawo, i jaki cel jego?

Te pytania stawia sobie i odpowiedzi na nie szuka nowoczesna nauka prawa. Nie jest już ona tylko nauką dla użytku sądów i adwokatów, ale dla prawodawców i polityków, którzy prawa muszą stano-

wić, a więc stoją ponad prawem historycznem pozytywnem.

Prawodawca, polityk, filozof prawa rozumieją dziś, do czego dążyła teorja prawa naturalnego i czego rzeczywiście dokonała: teorja ta była szkołą wszystkich konstytucyjnych prawodawców, w niej nauczyli się oni, jak budować należy państwo nowoczesne. Filozofja prawa oddzieliła z teorji owej wszystkie przemijające naleciałości i braki i odsłoniła zdrowe jej jądro. A jądrem prawa naturalnego jest nauka o prawomocności państwa.

„Każde pokolenie, mówi Jellinek, z psychologiczną koniecznością staje wobec państwa z tem pytaniem: Dlaczego wogóle istnieje panstwo z jego przymusem? Dlaczego jednostka wolę swą uginać musi przed wolą innej jednostki, dlaczego i w jakim zakresie ofiary nieść musi ogółowi". (Allgem. Staatslehre, str. 177).

Rozumiecie? Każdy robotnik musi — na mocy swej ludzkiej natury — sobie i państwu stawiać pytania: Dlaczego muszę być posłuszny sędziemu i policjantowi, którzy tak samo jednostką są jak i ja? Dlaczego muszę w wojsku trzy lata służyć, skoro ludzie zamożni służą rok tylko? Dlaczego ciężko zapracowany mój pieniądz muszę nieść do biura podatkowego? Dlaczego życie moje kłaść muszę na polu bitwy? Dlaczego?

Mówicie: „Dlatego że tak prawo nakazuje!"

Tak, ale któż to czy co to jest to prawo, które wolę moją łamie, wymaga odemnie pieniędzy i życia? Skąd przyszło to prawo? Komu ono służy? Kto je stanowi? Jeżeli mam prawu ulegać nie tylko pod przymusem fizycznym, ale dobrowolnie i ochotnie, to żądam, ażeby prawo wykazało swą prawomocność. Siła, władza, której mam się poddać z własnej wolnej woli — nie jak oporny więzień, ale jak rozumny obywatel — dowieść mi musi, że pragnie ona dobra tylko mojego i moich współobywateli. Inaczej — posłuszeństwo dla niej przeczy mojej godności i moim uczuciom moralnym.

Pytania takie stawiamy, bo jako istoty rozumem i wolą obdarzone, stawiać je musimy. Dopóki jesteśmy ludźmi nie możemy się od nich uwolnić. Filozofja prawa nie przeczy temu, owszem przyjmuje to jako psychologiczną konieczność.

Oto co mówi Jellinek o teorji prawa naturalnego: „Nie można chyba pomyśleć głębszego uzasadnienia państwa, jak to, kiedy dowiedzie się jednostce, że z wolą i świadomością tworząc państwo, stwierdza jego konieczność, że zatem uznawanie państwa jest tylko konsekwencją jej własnego czynu".

„Jeżeli nawet państwo w obecnej jego postaci powstało na skutek działania ślepych sił, dlaczegóż tego, co przekazane nam zostało z przeszłości nie mielibyśmy przekształcić odpowiednio do potrzeb i wymagań naszej bardziej dziś uszlachetnionej natury, jak to się stało już z innemi instytucjami, w pierwszym rzędzie z rodziną... Jeżeli nawet odrzucimy wszelkie atomistyczne uzasadnienie państwa, i pojmować je będziemy jako rodzaj organizmu, to nie wynika stąd bynajmniej, ażeby to co jest objektywnie konieczne i jako takie rozumne, nie miało być zarazem przedmiotem woli dla indywiduum, i z tej właśnie jego rozumnej woli wynikałoby dla indywiduum uzasadnienie wymagania: poświęcać siebie dla ogółu". (207).

Tak — dla ogółu poświęcać się musi każdy robotnik, poświęcać swój czas, trud, swoją krew, ale nie powinien pytać, czy poświęcenie to jest rozumne, czy temu poświeceniu całego naszego „ja", nieskończenie większemu, bardziej bezwzględnemu, aniżeli w klasach burżuazyjnych, nie możnaby nadać formy, lepiej odpowiadającej naszemu wyższemu poziomowi rozwoju, czy nie możnaby państwa, które występuje przed nami jako ślepa siła natury, tak przekształcić, że wola nasza rozumnie i świadomie z niem by się godziła i do poświęceń nas gotowemi czyniła?

Tak pytać nie tylko możemy, ale i musimy, tak pytać musi każda jednostka, dlatego że jest istotą rozumną!

Rozumiecie teraz chyba dlaczego każde nowe pokolenie w każdem państwie wciąż stawia sobie te pytania, dlaczego niby demoniczna jakaś potęga pcha wszystkie narody kulturalne ku temu, ażeby ślepą siłę natury, jaką jest pierwotnie państwo, przekształcić w „społeczność bez przymusu swoją wolę ujawniających ludzi", jak mówi Stammler, w państwo demokratyczne, w którem każda jednostka równy ma udział przez równe prawo głosowania.

Nowoczesna nauka o państwie zrozumiała, że wprawdzie teorja prawa naturalnego jako teorja prawa wogóle jest błędną, ale że w istocie swej tem większe posiada znaczenie jako polityczne prawo rozwoju, jako psychologiczna siła, która sprawia, że zmiany w społeczeństwie faktycznie zachodzące, zmiany w jego ekonomicznej strukturze, wyraz sobie znajdują w politycznych i państwowych programach dopóki nie zrealizują się w nowem prawie. Od pierwszej rewolucji angielskiej do dni naszych siła ta wszystkie ludy Europy naprzód pchała, i ona to torowała wszędzie drogę powszechnemu i równemu prawu głosowania.

Wł.

ST. BRZOZOWSKI.

DROGI i ZADANIA NOWOCZESNEJ FILOZOFJI.

A jeżeli istnieją formy i kategorje głębsze od wszystkich innych, stanowiące ich podstawę niejako, to tłómaczy się to tem, że wcześniejszem niż wszystkie narzędzia jest organizacja człowieka.*) Tak rozumieć należy prawodawstwo człowieka nad przyrodą, — podstawą samowładztwa ludzkości, stanowiącego treść zasadniczą filozofji Kanta.

Jest dzisiaj modnem pomiędzy obiecującemi (dodawaj zawsze, że zachowają odpowiednią giętkość grzbietu i przekonań, oraz nos wietrzący zdaleka już

*) Przeczuwam że to ustosunkowanie kategorji Kantowskich rzeczą tak poziomą jak technika wyda się wielce

wszystko co zagraża interesom zwierzchności) docentami i profesorami filozofji w Niemczech przeciwstawiać Kanta Marksowi. Otóż stwierdzić należy, że Marks nie sprzeniewierzył się Kantowi, lecz założenia jego rozwinął. Nauka o zależności poznania od techniki jest uzasadnieniem właściwem kantowskiej teorji kategorji: bez tego ostatniego upodstawowania wisi ona w powietrzu; i w tym to interesującym stanie odnajdujemy ją we współczesnych niezliczonych podręcznikach teorji poznania. Logika całej działalności Marksa wyprowadziła go poza granice właściwej czystej filozofji nie miał on czasu na rozwijanie i uzasadnianie własnych założeń... Naszą to rolą jest uwydatnić całe bogactwo myśli, tkwiących w pozostawionej nam przez mistrza spuściźnie. Marks mówił o sobie, że postawił na nogi djalektykę Heglowską, która chodziła na głowie. Mógłby był powiedzieć z niemniejszą słusznością, że wyjaśnił on rzeczywiste znaczenie i genezę kantowskich kategorji.

Widzimy już, jak dalece nieuzasadnionem jest przypuszczenie, że poznanie określa stosunek człowieka do świata. Nie świat jako taki ale twórczość, ale ludzkość sama za pośrednictwem swych wynalazków i urządzeń technicznych — określa, czem jest dla niej przyroda — ta podstawa całej dalszej i bardziej skomplikowanej działalności naszej. Nie z znamienną jak przeznaczenie, niezależną od nas istnością świata stykamy się więc, lecz z twórczością własną i jej wynikami. Zagadnienia, jakie stawia nam przyroda są rozwiązalne w zasadzie. Nie samo więc poznanie określa, czem mamy być, lecz czyn nasz, zdolność nasza do wytwarzania stosunków ze światem, odpowiadających naszym potrzebom. Widzimy więc już, w jakim znaczeniu przezwyciężona jest wszelka filozofja — dedukująca reguły postępowania dla człowieka, z pewnego określonego pojęcia o świecie, tak jak gdyby pojęcie to było nie odbiciem teoretycznem naszej technicznej władzy nad światem, lecz bezpośredniem ujawnieniem niezależnej od nas istności świata. Na tem właściwie zasadza się przeciwieństwo pomiędzy krytycyzmem a dogmatyzmem w filozofji. Filozofja krytyczna była uświadomieniem wyzwolenia człowieka z pod władzy prawideł w produkcji. Gdy przemyślność, spryt, genjusz wynalazczy rozstrzygać zaczęły w praktyce o tem, co człowiek jest w stanie wydobyć z przyrody, założone zostały podwaliny twierdzenia, iż nie pojęcia stosują się do rzeczy, lecz rzeczy do pojęć. Systemat wytwórczości cechowej, w której produkcja poddana była, w zasadzie przynamniej, niezmiennym prawidłom stanowi rys zasadniczy średniowiecznego okresu życiowego. Tylko taka sztywność i nizki stopień rozwoju przemysłowego mogły nie obalić w gruzy średniowiecznego światopoglądu. Typem średniowiecznego stosunku do przyrody jest wprowadzanie w czyn reguł, wypływających z ustalonego systematu pojęć. Trzeba bezpośrednio zetknąć się z pismami ludzi tej epoki, aby zrozumieć całą odrębność ich myśli. Czytając niedawno *Opus Pavamirum* jednego z najciekawszych ludzi późniejszych przejściowych już czasów, Teophrasta Paracelsa, oprzeć się nie mogłem zdumieniu spostrzegając, jak dalece człowiek ten o niepospolitej zdolności myślenia pozbawiony był zmysłu dla ujmowania naturalnych związków pomiędzy rzeczami. Nie zrozumie się magji i okultyzmu średniowiecznych, jeżeli się nie będzie pamiętać o tym braku zmysłu dla przyczynowego związku zjawisk. Przyczynowość mechaniczna stanowiąca kościec całego naszego myślenia jest tu całkowicie nieobecna.

Dla człowieka ówczesnego czyn wypływał z prawidła, z formuły; rozszerzał on tę zasadę na przyrodę, gdy więc widział skutki, nie objęte przez znane mu formuły, przypisywał je nie przyczynom przyrodniczo je uwarunkowującym, lecz działaniu formuł niezwykłych, ogółowi niedostępnych i t. p. Działalność prawidłowa przyrody jest odbiciem naszej własnej działalności w technice. Przyroda jest niczem innem bowiem, jak zakresem działania urządzeń technicznych. Wiara w samodzielność przyrody, wyradza się zawsze w magję tego lub innego rodzaju. Zrozumiejmy bowiem raz na zawsze czem jest ta samodzielność przyrody. Wchodzi ona dla nas w rachubę oczywiście jedynie jako myśl nasza, czem bowiem jest przyroda po za naszą myślą — wyobrazić sobie nie możemy, nie sprzeciwiając się wymaganiom postawionym przez samo zadanie. Myślimy zaś o przyrodzie, jak to już mówiłem, w dwóch formach, jako o podścielisku naszej działalności technicznej, i jako o żywiole powstającym poza granicami naszych oddziaływań technicznych. To ostatnie wyobrażenie o przyrodzie, o ile nie pozostaje czysto negatywnem, marą pojęciową, pozbawioną wszelkiej określonej treści — redukuje się do wyobrażenia o działaniach przyrody, niepoddanych ściśle określonym, uformowanym na wzór prawideł technicznych prawom. Mamy tu więc do czynienia nie tyle z żywiołowością bezpośrednią przyrody, ta bowiem pozostaje poza naszą myślą ale raczej z nieokreślonością myślenia. To co uważamy za wyraz żywiołu po za nami, jest w gruncie rzeczy żywiołem, co w nas, grę wyobraźni nie poddanych prawidłu. Rozumiemy teraz jaka to przyroda i dlaczego drogą zawsze była naturom sentymentalnym. To jedno pozostaje: ludzkość nigdzie nie styka się ze światem inaczej jak przez

prozaicznem czytelnikom, wychowanym na współczesnej teorji poznania. Sądzę jednak, że dopóki niezrozumiemy tego związku, dotąd też nie zrozumiemy w jaki to sposób pojęcia mogą przepisywać prawa rzeczom. Dopiero gdy przejmiemy się prawdą, że od początku rozwoju ludzkości narzędzie stwarza modus obcowania człowieka z przyrodą, zrozumiemy pierwiastek konstrukcyjny całej wiedzy ludzkiej. Cała teorja poznania i logika pozostaną tem, czem są, jałową i nudną rozrywką, tłumikiem nakładanym na myśl ludzką, póki nie zostaną oparte na tej zasadzie zależności poznania od narzędzia. Wszystkie inne rozumowania obracać się będą w próżni i rodzić w głowach przykry czad, powstający dajmy na to przy czytaniu „głębokich" prac p. Stanisława Graleskiego lub M. Masoniusa. Oczywiście jednak pozostanie to czczem napomnieniem, póki wykształcenie filozoficzne naszej młodzieży pozostawać będzie pod wpływem i to w najlepszym już razie takich ludzi, jak lwowski profesor p. Kazimierz Twardowski, uważający za najstosowniejszą podstawę współczesnego wykształcenia filozoficznego — studja nad filozofją średniowieczną. Coprawda jest ona istotnie cennym nabytkiem dla galicyjskich dziennikarzy i adjunktów ze względu na naukę o podwójnej prawdzie, pozwalającą w sposób tak wygodny łączyć życiowe lokajstwo z „niezależnością" myśli, szacunek dla Hume'a i Kanta z tem stanowiskiem, jakie zajmuje sam p. Twardowski w sprawie wykładów religji i praktyk nabożnych w zakładzie naukowym, którego jest kierownikiem czy kuratorem.

pryzmat własnej twórczości. Nigdzie więc nie może być mowy o przyrodzie raz na zawsze danej, wiszącej nad nami, jak przeznaczenie. Mamy zawsze do czynienia tylko z czemś, co obowiązującem jest dla pewnego określonego stopnia rozwoju działalności ludzkiej. Na wyjaśnieniu tego polega wiekopomna zasługa Kanta. (D. n.)

JANUSZ KORCZAK.

FERALNY TYDZIEŃ*)

(Z życia szkolnego)

Godzina piąta. Muzyka.

Stasio nienawidzi muzyki. Gieografji, drobiej i gramatyki uczą się wszyscy, których Stasio zna; bez tego nie można dostać promocji. Ale on jest nieszczęśliwszy od nich o całą muzykę.

Tatuś mówi, że muzyka — to zawracanie głowy, a mama,—że strata pieniędzy. A mimo to każą trzy razy na tydzień brzdąkać po godzinie z panią i codziennie—samemu. A kiedy wieczorem uwolni się od lekcji, słyszy zaraz:

— Stasiu, idź grać.

Czasem Stasiowi żal nauczycielki: ona niewinna, że przychodzi,—bo musi; a czasem na złość jej robi i pięć razy z rzędu bierze krzyżyk po kasowniku. Bo dlaczego się ciągle skarży na niego? A on ma przecież jeszcze gimnazjum!

I poco, kiedy mu wcale muzyka niepotrzebna?

Siedź i graj tu, jak masz dwie dwójki na ten tydzień, a jutro klasowe zadanie; wesoło, niema co mówić.

— Stasiu, uważaj.

— Ja uważam.

— Stasiu, dlaczego ty mnie tak męczysz?

Nauczycielka powiedziała to smutnym, łagodnym głosem. Stasio drgnął. Biedna.—Stasio z trudem powstrzymuje łzy.

Teraz bez błędu zagrasz. No co,—dobrze: bez błędu?

Stasio nie odpowiada.

I zagrał bez błędu.

— Dopiero dwa dni przeszły—myśli Stasio, leżąc w łóżku.—Dopiero dwa dni, a co on już przeżył w tym tygodniu. Jeszcze środa, czwartek, piątek, sobota. Co go jeszcze czeka? Jutro klasówka; jeżeli nie zrobi zadania, będzie to już dwójka na przyszły tydzień, po tygodniu z dwiema dwójkami będzie znów tydzień z dwójką.

Boże, jak ciężko, jak strasznie.

Stasio patrzy na lampkę przed obrazem i wzdycha.

Dlaczego Bóg, który jest Wszechmocny, nie pomoże mu w jego ciężkiej doli? Gdyby on, Stasio, był Bogiem... Ale grzech tak myśleć, a grzeszyć nie wolno w wilję zadania... Gdyby tak módz wiedzieć, co będzie jutro, albo tylko — co będzie za godzinę. Możnaby tak łatwo być pierwszym uczniem.—Stasio nie chce być pierwszym uczniem. — Pierwszy uczeń zarozumiały, i nikt go nie lubi. Ale chciałby mieć trójki, żeby módz się nie bać ciągle.

Zrobił dzisiaj pięć zadań z korepetytorem; żeby tak było jedno z tych właśnie. Byłaby już czwórka na przyszły tydzień, — dzisiejsza dwójka byłaby pokryta.

Dwójki dzielą się na niebezpieczne i nie niebezpieczne.—Idzie przecież o to, żeby na kwartał nie wypadła dwójka. Z ruskiego ma już cztery trójki i dwie dwójki. Więc go wyrwie jeszcze na poprawkę, nie jest znów taki straszny, tylko mu czasem fantazja do głowy przyjdzie. Z arytmetyki gorzej, ale też może się jeszcze poprawić.

Jacy szczęśliwi ci uczniowie, którzy dzienników wcale rodzicom nie pokazują—takich jest dwóch, o których Stasio wie. Nikt się nimi nie interesuje, nikt na nich nie krzyczy. Albo ci, którzy mieszkają na wsi— i tylko na święta jeżdżą do domu.—Rogalski jest drugoroczny, a ma własnego kuca w domu—i nic go nie obchodzi.

Tylko jemu Stasiowi, zatruwają życie.

Taki żal czuje Stasio do tych wszystkich, którzy go dręczą.

Dlaczego, jak jemu się powiedzie, rodzice są dla niego dobrzy? Mama pozwala mu i czytać, i drażnić się z Józiem, i rano tak nie krzyczy, żeby wstał, i do grania go nie pędzi, a tatuś bierze do cyrku, albo dorożką.—A jak mu się nieszczęści, to wszyscy zaraz na niego. — Przecież on umie to samo; bo oprócz pierwszych pięciu albo sześciu uczniów, reszta wszyscy żyją tak, jak on. Jak go wyrwą z tego, co umie, dostaje dobry stopień, albo jak nauczyciel jest w dobrym humorze, albo jak mu się uda ściągnąć, albo jakiś inny przypadek.—Jeżeli naprzykład jutro będzie jedno z tych zadań, które dziś robił z korepetytorem, to dostanie czwórkę — i czy to będzie jego zasługa? Akurat tak się trafi.

Stasio umówi się z Goldszternem tak, że jak się weźmie za prawe ucho, to trzeba pomnożyć, a jak za lewe, rozdzielić.—Stasio już niby rozumie, ale się boi ryzykować, bo może w ostatniej chwili pomylić się z przestrachu i w pośpiechu.

Raz Stasio dostał czwórkę z gieografji; umiał akurat do jednego miejsca, a dalej nic i nic. I kiedy powiedział wszystko, co umiał, nauczyciel posadził go na miejsce i postawił czwórkę, a tak toby dostał dwójkę za to samo.

Tak będzie najlepiej: za prawe ucho — pomnożyć, a za lewe—rozdzielić. A jeżeli prędko zrobi, to niby pójdzie z papierem do kosza—i rzuci mu kartkę. Potem Stasio opuści niby pióro, nachyli się i podniesie kartkę. Chociaż to niebezpieczne.

Dziwak jest ten arytmetyk: czasem tak pilnuje,

że się ruszyć nie pozwoli, a czasem nic nie uważa i można robić, co się chce.—I każdy z nich,—jak chce, to zawsze może postawić dwójkę,—oprócz pierwszego ucznia.—Są tacy w klasie, których lubią, to żeby nie wiem co, nie postawi mu dwójki. A o lizuchach i tych, których rodzice dają łapówki,—niema co mówić.—Pawełkiewicz także nie mógł zrobić zadania,—odpowiadał już z dziesięć minut, jak był dzwonek. A on co: „no, na drugi raz jeszcze cię spytam". I nie postawił stopnia.

A gdyby to był Stasio...

Stasio wzdycha.

— Boże, wielki i dobry Boże. daj, żebym jutro zrobił zadanie. Bo chcę przynajmniej w przyszłym tygodniu już nie mieć dwójki.—A on przynosi kajety po tygodniu, w środę—objaśnia Stasio Bogu porządki szkolne.

Dziwny spokój ogarnia Stasia. Oczy mu się mrużą,—myśli się plączą, modlitwa miesza się z ostatniemi troskliwemi rozmyślaniami, — i Stasio zasypia, powtarzając:

— Prawe ucho—mnożenie, lewe—dzielenie.

Stasio zatrzymał się przed nowym sklepem. — Jutro albo nawet dziś jeszcze, kupi nowy kajet i obejrzy łańcuszki, które dodają do bruljonów. — Może zamiast łańcuszka można dostać maszynkę do temperowania ołówków, albo dopłacić i wziąć scyzoryk? — Tak, dzisiaj kupi Stasio nowy kajet i dowie się o wszystkiem dokładnie.

Rozgląda się po ulicy: idą jeszcze malcy; to znaczy, że wcześnie.

I nagle przypomina sobie klasowe zadanie na pierwszej lekcji. Trzeba się spieszyć, — umówić, — rozmówić, — porozumieć z kolegami; — wymaga to zawsze kilkunastu minut. — Zrobi czy nie zrobi?

— Jeżeli spotkam tę dziewczynkę w żałobie, to będzie dobrze.

Dziewczynka w żałobie chodzi na pensję, — spotyka ją prawie codziennie. — Stasio czuje dla niej wiele sympatji i współczucia, pewien szacunek i odrobinę zazdrości. Taka mała, pewnie z wstępnej klasy, i już w żałobie.

Raz Stasio, kiedy leżał w łóżku wieczorem, myślał sobie, że jest trochę starszy, naprzykład w piątej klasie, że niema rodziców, a dziewczynka w żałobie jest sierotą, i on ją wychowuje. Czytał gdzieś coś podobnego w książce dla młodzieży. — Gdyby się zwierzył któremu z kolegów, to zaraz by powiedzieli, że się w niej kocha i nazywaliby ją jego facetką. — Stasio nawet przyjacielowi nic nigdy nie mówi, bo potem się z nim pokłóci, albo co, — i ten wszystko wypaple — i potem się śmieją.

Prawdziwego przyjaciela Stasio nie ma.

— Jeżeli ją spotkam, to zrobię zadanie, — myśli, i pragnie ją spotkać, rozgląda się, idzie wolniej, coraz wolniej.

I ze złem przeczuciem przestąpił próg szkoły.

Już na wschodach krzyknął mu tryumfująco kolega:

— Chodź prędzej. Wiemy które będzie zadanie.

W klasie nastrój świąteczny.

— Masz, przepisuj prędko.

Stasio wyrywa kartkę z bruljonu.

— Prędzej!

Z uderzeniem drugiego dzwonka robota skończona.

— A skąd wiecie, że to akurat zadanie będzie?

Rzecz w tem, że nauczyciel przerabiał z nami zadanie na cztery diejstwia i zrobił wszystkie po kolei od 370-go do czterysta piątego, tylko jedno zadanie przepuścił. Naturalnie, że to jedno właśnie zostawił na dzisiejszą klasówkę:

Każda klasa i każdy uczeń zosobna skłonni są myśleć, że nauczyciel niemi się tylko zajmuje.

Nauczyciel o tem tylko myśli, jakby ich podejść, oszukać, złapać, zaszkodzić. Uczniowie nie pozostają mu dłużni. Klasa i nauczyciel to dwa nieprzyjacielskie obozy, walczące na śmierć i życie. — Jeżeli umiesz lekcję i chcesz wydawać, to kryj się, patrz często na zegarek, udawaj przestraszonego; jeżeli nie umiesz, udawaj, że chcesz odpowiadać, a napewno nie wyrwie.

Ale trzeba umieć to robić tak, aby się udawało...

Arytmetyk wszedł do klasy. Chwila niemego oczekiwania. Czterdzieści serc drży w niepewności.— Nauczyciel odnotował nieobecnych,—rozgląda się, widzi rozłożone kajety, uroczyste twarze dzieci—i mówi niby od niechcenia:

— Ach tak: klasowe zadanie.

Rozejrzał się po katedrze. — Dyżurny uniósł się, aby na pierwsze skinienie podać zadacznik. — Ale o zgrozo, nauczyciel wyjmuje z kieszeni od kamizelki jakiś kawałek papieru, — coś napisał — zanotował, — i począł dyktować zadanie z głowy.

Oszukał. — Wszystko było z góry uplanowane, jeszcze na wiele dni przed klasówką. Naumyślnie wtedy przepuścił jedno zadanie. Że tak jest właśnie, nikt ani na chwilę nie wątpi, Stasio pisze jak we śnie. —Zapomniał poprosić Goldszterna, aby się pociągnął za ucho, dziewczynki w żałobie nie spotkał,—zgubiony bezpowrotnie...

Zadanie trudne, a może i nie trudne, tylko klasa, zawiedziona w nadziejach, składa pokornie oręż. Pogrom zamiast oczekiwanego zwycięstwa, upadek zamiast tryumfu.

Stasio widzi wokoło twarze zafrasowane. Prócz trzech czy czterech nieustraszonych, reszta gryzie bezradnie pióra, marszczy brwi, szepcze trwożnie.

— Nie rozmawiać!

Stasio nie ma odwagi nawet przeczytać zadania, nie może zebrać rozpierzchłych myśli, ponad któremi góruje jedna:

— Oszukał.

W klasie powietrze staje się ciężkie od wyziewów wilgotnego obuwia. Minuty wloką się z miażdżącą powolnością.

— Zostało dwadzieścia minut.—mówi nauczyciel.

Niektórzy wodzą suchemi piórami, byle nie zwracać na siebie uwagi nauczyciela, w nadziei, że w ostatniej chwili uda im się od kogoś przepisać; inni kreślą bezładnie, coraz przekreślając i zaczynając na nowo coraz śpieczniej i bezkrytyczniej; jeszcze inni tworzą jakieś fantastyczne kombinacje, z dziwnym uporem rzucają szeregi cyfr, nie zwracając uwagi na widoczne błędy,—byle dojść do ostatniego działania.

TARGOWICA.

Jeżeli historja ma być rzeczywiście mistrzynią narodów, jeżeli z doświadczenia naddziadów mają módz korzystać prawnuki, niezbędnym jest jeden warunek. Trzeba znać ducha każdego z minionych wydarzeń, a nie poprzestawać na ich zewnętrznych objawach, doniesionych i wykoszlawionych przez tradycję.

Wiadomo, że najgorętsza idea, raz w pewną formę ujęta, z czasem kostnieje. Martwiejące jej symbole przekształcają się w liczmany, któremi faryzeusze okpiwają interesowanych i —własne sumienia.

Symbol bezwzględnej miłości bliźniego przekuły wieki średnie na rękojeść miecza. Słowami Chrystusa, którego królestwo nie z tego było świata, wojował i wojuje kler, dóbr doczesnych łakomy. Dzisiejsza Francja opasłych rentjerów czci bez żenady hasła Wielkiej Rewolucji i nawet więzienia swoje ozdabia republikańską dewizą: „Liberté, égalité, fraternité“. A zapytajcie którego z naszych trójlojalnych, czy nie wielbi pamięci Kościuszki?... Przecież w salonie jego stoi na pierwszem miejscu popiersie bohatera. Która z bestji hakatystycznych nie ubóstwia Szylera? Który stańczyk, pragnący lud polski jaknajdłużej trzymać w ciemnocie, nie cytuje z lubością myśli Mickiewicza?

Umarli bronić się nie mogą przed miłością potomków najzawziętszych wrogów swoich. Dzieła ich —o ile je pisali—nie odpowiadają wręcz na każdą nastręczającą się dziś kwestję; straciły aktualność. Zaś ideę zasadniczą przyprószył już pył komentarzy, naniesionych przez mikroby tendencji i drobnoustroje wszystkożernego snobizmu.

Jedną z kardynalnych przyczyn wulgaryzowania przez tradycję ducha wielkich momentów przeszłości jest to, że najskwapliwiej przypominać je lubią ci, którzy za cel swój obrali walkę z postępem. Ludzie i sfery całe, mające interes w opóźnianiu jutra, klasy, w danych warunkach czujące się dobrze, szukają zawsze sposobu hypnotyzowania ogółu urokiem tego, co było. Dobywają zatem z lamusa tradycji najpopularniejsze świętości i czynią z nich brzękadła. W postaciach, symbolizujących postęp, humanitaryzm, antyfaryzeizm, na pokaz publiczny wystawiają przedewszystkiem nie te szczegóły, które stanowiły chwałę ich i wartość główną, lecz te jedynie, które właśnie faryzeuszom dogadzają, choć danej postaci tytułu do wielkości nie dawały.

W dzień jubileuszu setnej rocznicy urodzin Mickiewicza konserwatywna prasa warszawska wystosowała sążniste panegiryki, lecz zbywała w nich ogólnikami najpotężniejsze cechy duszy wieszcza; unikała gorliwie zaczepiania o myśli jego, tchnące radykalizmem społecznym, demokratyzmem, gorącem umiłowaniem postępu, wolności, nieokiełznanym krytycyzmem i nienawiścią dla zaskorupiałego we własnym dobrobycie filisterstwa. Natomiast wszystkiemi swemi reflektorami oświetlała ona katolicką pobożność poety, która niewątpliwie była najsłabsza strona jego umysłu, skoro doprowadziła do chorobliwego mistycyzmu i potężną tę indywidualność wprzęgła do rydwanu indywidualności niższej—Towiańskiego.

Zjawisko to powtarza się stale. Bezwzględnie szkodliwem nawet ono nie jest. Wstecznictwo, reklamując się dawnymi przedstawicielami postępu, mimo wszystko, acz zwolna musi jednak stopniowo czynić mu pewne koncesje. Kiedyindziej znów obluda jego staje tak widoczna, że miast reklamy kompromitację mu przynosi.

Oto np. stronnictwa, pragnące ogół polski odgrodzić murem od dzisiejszych „marzonek“ zachodnio-europejskich, w chwili obecnej zawzięcie popularyzują pamięć Komisji Edukacyjnej. Każą nam one szukać w niej źródła swojskiej, *narodowej* twórczości pedagogicznej. Czyż nie komiczną jest ta źródlana swojskość instytucji, która była przecież płodem wpływu na Polskę rewolucji francuskiej, jej ideologów i filozofów? Tak Hugo Kołłątaj, jak i biskup Jezierski wcale się z tem nie kryli; wszelako prawda ta nie dogadza stronnictwu, pragnącemu opanować przyszłą szkołę polską, a walczącemu pod sztandarem bezwzględnej swojskości o ile reklamowanie duchów ciemnych przy pomocy rzetelnych pochodni przeszłości bezwzględnej szkody społeczeństwa nie przynosi, o tyle krzywdę absolutną wyrządza inna ich akcja, mająca na widoku zupełne otumanienie świadomości publicznej. Akcja ta polega na wywlekaniu straszliwych widm przeszłości ku postrachowi spółczesnych. Jak przy reklamowaniu się geniuszami, tak i tu wstecznictwo odsłania tylko rysy drugorzędne, wybiera najbardziej w oczy bijące pozory i wskazuje przypadkowe podobieństwa własnych swoich przodków z obecnymi swoimi przeciwnikami. Jest to machiawelizm celowy i każdy taki wybryk należy czemprędzej demaskować.

Oto fakt.

Toczy się obecnie w Austrji walka o zmianę ordynacji wyborczej. Gabinet Gautscha (podobno z inicjatywy samego cesarza), przynaglony coraz częściej powtarzającemi się demonstracjami ludu, wniósł do parlamentu projekt zaprowadzenia powszechnego, równego, tajnego i bezpośredniego głosowania.

Przeciw temu pomysłowi pierwsze oczywiście wystąpiło Koło polskie. Ale przywykłe do służenia na czterech łapkach przed każdym rządem wiedeńskim, wreszcie pod naciskiem demokratyczniejszej swej mniejszości, grożącej rozłamem klubu, nie zdecydowało się na akcję otwartą. Z pomocą stańczykom pospieszyła narodowa „demokracja“. Przedewszystkiem zwróciła ona uwagę, ze liczba wyznaczonych Galicji mandatów (obliczonych według siły podatkowej prowincji) jest dla kraju tego krzywdząca. Zarzut słuszny. Gdy jednak baron Gautsch rozpoczął na ten temat pertraktacje, nacjonaliści do współki z wszechniemcami wynaleźli nowe utrudnienie. Zaprojektowali wyodrębnienie Galicji. Przy obecnych stosunkach, wyodrębnienie to dogadzać może jedynie szlachcie

polskiej—klice kilku rodów magnackich i — wszechniemcom. Pierwsi, dzięki dotychczasowej ordynacji wyborczej do sejmu krajowego, staliby się absolutnemi władcami Galicji; drudzy, po pozbyciu się polaków z parlamentu wiedeńskiego, mają nadzieję zdobycia dla niemców przewagi nad resztą ludów słowiańskich. Pozatem rzeczywista demokracja polska nie ma nic przeciw wyodrębnieniu. Wymaga ona jednak uprzedniego zreformowania ordynacji wyborczej do sejmu krajowego; żąda i tu również zaprowadzenia głosowania powszechnego, równego, tajnego i bezpośredniego, by nie wydawać kraju na łup kilkudziesięciu żarłocznych magnatów. Wniosek d. 28 z. m. przyszedł pod głosowanie parlamentu i wymaganej większości nie zyskał. Przy tej okazji nastąpił pierwszy wyraźniejszy rozłam w Kole Polskiem, którego część demokratyczna (w prasie reprezentowana przez „Nową Reformę“) ostentacyjnie opuściła zebranie.

Zajście to dało asumpt „Słowu Polskiemu“—urzędowemu organowi narodowej demokracji—do nazwania demokratów i społecznych demokratów galicyjskich—*targowiczanami*. W tchnącym faryzeuszostwem artykule pismo to przyrównywa opisany wyżej epizod z momentami ostatnich lat Rzeczypospolitej, „kiedy po jednej stronie rwała serca myśl konstytucji Trzeciego Maja, idea samodzielności, po drugiej wiła się w dzikiej wściekłości i podłym gniewie Targowica, służebniczka Rosji“. —„Tak samo, jak wówczas—pisze dalej organ wszechpolaków—i dziś wszystkie tajone instynkty i chucie, dawne niechęci i nienawiści, egoizmy klasowe, partyjne i zawodowe, chęci zysku, myśli o protekcji obcych, wszystko to wypełzło, jak gady wstrętne na światło dzienne i kładzie się ławą na drodze, wiodącej do samodzielności. Odnowiły się w tej chwili zastarzałe rany: wypełzły legjony takich, którzy wołają: Niech nam tu Austrjak panuje, niech Wiedeń nami rządzi, byle nie własny rząd, byle nie Polacy“. „W słowach tych w całem tem rozumowaniu powtarza się najzupełniej dawna Targowica. Tylko dawna występowała w imieniu przywilejów pańskich, a dzisiejsza w imieniu przywilejów ludu“... i t. d.

Już to ostatnie zdanie pisma wszechpolskiego zdradza krętactwo jego djalektyki. Lud przywilejów nie ma, więc w ich obronie demokracja występować nie może. Żąda ona zniesienia przywilejów klas posiadających, równouprawnienia ludu—to kolosalna różnica; tego mięszać nie wolno.

Ale mało tego. Organ nacjonalistów polskich, wymachując straszakiem przebranym za Targowiczanina, nie ukazuje cech jego istotnych, lecz zewnętrzne łachmanki, strojące go przypadkowo. Odrzućmy te strzępy; przyjrzyjmy się natomiast duchowi, ożywiającemu Targowicę.

Jest to duch wieczny, duch wstecznictwa polskiego. Odradza się on coraz to pod inną postacią, zależnie od czasu i miejsca. Raz występuje jako stańczyk galicyjski, kiedyindziej jako redaktor „Roli“; to jako junkier pruski, to wreszcie, jako przedstawiciel sytego mieszczaństwa—nacjonalista.

Dziś takie „Słowo Polskie“ wyciąga w potrzebie sztandar „Trzeciego Maja“ i wrzeszczy pod nim: „swojskość, swojskość, genjusz rasy, twórczość narodowa!“..

Kłamstwo! Duch, ożywiający ową ustawę konstytucyjną, z Zachodu do nas przywiał. Razem z pludrami i perukami, razem z lubieżną rozwiązłością, otoczenie Stanisława Augusta przejmowało się ideami europejskiemi, nowożytnemi, postępowemi. I to ujmy ani Kołłątajowi, ani żadnemu z ówczesnych wielkich ludzi nie przynosi“, to ich również mniej swojskimi-mniej polakami nie czyni. Byli oni polakami, swojakami byli, ale z tej polskości i swojskości chorągiewek nie czynili. Pionerzy postępu takiemi sztandarkami walczyć nie mogą, bo na tradycję niepodobna im się powoływać.

Ale kto walczył „polskością“, kto walczył „swojskością“?..

Oto właśnie Targowica.

W jej akcie, spisanym przez konfederatów litewskich czytamy, że odpowiedzialność za nieszczęścia ojczyzny spadnie na zaciętych i, fanatycznych wyznawców „przeklętych maksym filozoficznych, zagorzałych nieprzyjaciół rządu i społeczności ludzkiej pod ubarwioną postacią patrjotyzmu, równości, wolności szkaradnej i praw, nowo z głowy podłej w koncepta utworzonych człowieka, z wywróceniem ołtarza, rządu, z wyniszczeniem stanu szlacheckiego i zgubą zapracowanej wiekiem sławy i majątków cnotliwych obywateli“.

Akt konfederacji zarzucał tym, co sejm owładnęli, że sieli na wszystkie strony projekta demokrackie „przykład nieszczęsny Paryża wystawiany był za wzór miastom naszym“... Żądał on natomiast, aby „rzeczpospolita udzielną, samowładną, niepodległą, w granicach całą została, bo od wieków nikomu podległą i niczyją własnością nie była. Żądamy—czytamy dalej—wolności narodowi naszemu przyzwoitej, bo w niej przodkowie nasi od wieków żyli, bośmy się w niej porodzili i umierać chcemy“.

Te trzy cytaty wystarczą.

Co w nich jest znamiennego?

1) Wstręt do inowacji, mogących nadwerężyć przywilej klasy, posiadającej dobrobyt i władzę.

2) Sposób obrzydzania tych inowacji za pomocą wskazywania ich obcości.

3) Argumentacja, wstecznictwa właściwa: „niech tak będzie, bo tak bywało za ojców naszych“.

Uciekanie się do pomocy cudzoziemskiej nie było tu wcale rysem zasadniczym. Przeciwnicy targowiczan czynili to samo, zapożyczając od zachodu maksym filozoficznych. Istotą ich ducha było to, do kogo się zwrócili. Mianowicie, że szukali oparcia w potędze wstecznej, w potędze, której interes polegał—równie jak magnaterji polskiej—na hamowaniu demokratyzacji Europy.

A więc gdzie dziś szukać targowiczan?

Oto tylko w szeregach tych, którzy z hasłem swojskości; samodzielności na ustach, z ręką ciągle wskazującą przeszłość świętą narodu, usiłują wszelkiemi sposobami hamować demokratyzowanie się społeczeństwa.

To wieczna Targowica.

Benedykt Hertz.

KANONICZNIE UTWIERDZONE OGŁUPIANIE LUDU.

W chwili obecnej, kiedy prasa nawet klerykalna potępia działalność naszego duchowieństwa, skierowaną tylko do utrzymania i potęgowania ciemnoty i zabobonnych wierzeń w narodzie, mam do zanotowania fakt, świadczący w zupełności o dążeniach przedstawicieli kleru do dalszego i stałego ogłupiania swoich owieczek.

W dniu 16 października roku 1905 zostało zawiązane w Warszawie „Stowarzyszenie Żywego Różańca" zatwierdzone kanonicznie przez „Przewielebnego Jenerała OO. Dominikanów, Br. Hijacentego, Marję Cornier" na mocy dokumentu, wydanego w Rzymie na imię proboszcza P. Marji w Warszawie.

W patencie czyli karcie wpisowej, którą posiada każdy członek stowarzyszenia, znajdują się przepisy ułożone i zatwierdzone w dniu 1 stycznia 1906 r. przez dyrektora duchownego owej korporacji, proboszcza parafji P. Marji w Warszawie ks. Z. Skarzyńskiego.

Z ustawy tej dowiadujemy się, iż celem owego stowarzyszenia jest „utrzymanie wśród swoich członków ducha gorącej i apostolskiej modlitwy", zadaniem zaś „wzajemna pomoc tak duchowna, jako i doczesna, wykorzenienie zgubnego pijaństwa, wreszcie wyrobienie życia prawdziwie katolickiego wśród swoich członków".

„Piętnastu stowarzyszonych katolików, kobiet lub mężczyzn, panien lub młodzieńców, mając na czele zelatorkę lub zelatora, stanowią jedno kółko, czyli Różę która codzień wspólnie odmawia cały Różaniec, złożony z 15-tu tajemnic.

Każdy stowarzyszony w ciągu miesiąca odmawia jedną i tę samą tajemnicę, wyznaczoną przez zelatora czyli 10 Zdrowaś Marja i 1 Ojcze nasz.

Zelator ma obowiązek co miesiąc zmieniać tajemnicę i takowe rozdzielać między członków".

„Każdy stowarzyszony powinien znać i szanować swego zelatora, składkę w ilości 10 kop. miesięcznie wiernie płacić do rąk zelatora".

Na stronicy 3-ej owej karty wpisowej czytamy:

„Aby być przyjętym nic więcej się nie wymaga, jak dać zapisać własne nazwisko do księgi Bractwa i odmawiać jedną dziesiątkę co dzień, t r z y m a j ą c w r ę k u p o b ł o g o s ł a w i o n y r o ż a n i e c. Jeżeli zaś łączy się dwie lub więcej osób do wspólnego odmawiania, wtedy wystarczy, gdy jedna l i c z y Zdrowaś Marja, które odmawia t r z y m a j ą c R ó ż a n i e c".

A teraz przypatrzmy się, jakie korzyści i przywileje daje stowarzyszonemu wypełnianie wszystkich praktyk, przepisanych w patencie. Najważniejsze są odpusty.

Św. Kongregacja odpustów pod d. 2 lutego 1878 r. nadała i nadane zatwierdziła między innemi odpustami dla „Stowarzyszenia Żywego Różańca" odpust zupełny za nawiedzenie kościoła przy odbyciu spowiedzi i modlitwę za Ojca Św., we wszystkie mniej lub więcej uroczyste święta w roku oraz każdą trzecią niedzielę miesiąca.

Odpust cząstkowy — za „odmówienie codziennej dziesiątki Różanca Św. w dni powszednie—100 dni odpustu, w niedzielę i święta — 7 lat i 8 kwadragen" również „100 dni za każde Ojcze nasz i Zdrowaś Marja, odmówione na różańcu poświęconym".

Do przywilejów doczesnych należy korzystanie z bezpłatnej pomocy lekarskiej i apteki, u lekarzy wymienionych na stronicy 10 ej karty wpisowej.

Buduj się czytelniku! licz zdrowaśki co dnia, t r z y m a j ą c w r ę k u p o ś w i ę c o n e g a ł e c z k i, a dusza twoja za każde przesunięcie jednej z nich skróci sobie męki czyśćowe, a nawet po dostąpieniu zupełnego odpustu, może prościutko po śmierci zawitać do bram niebieskich!

O potęgo ciemnoty! Jak silną jest wiara w skuteczność zabobonów,uświęcanychprz ez Ojców duchownych!

Żyć możesz w stałym rozdźwięku z sumieniem własnem, krzywda, uczyniona słabszemu od siebie, zostaje zmazana ilością odmówionych „tajemnic".

„T r z y m a n i e p o ś w i ę c o n e g o r ó ż a ń c a" pozwoli ci wpuścić trochę soków żywotnych z wynędzniałego organizmu robotnika, sprzedającego za marny grosz swoją pracę; wszak niesprawiedliwość, popełniana względem niego zostanie zapomniana, boś winę swoją okupił, wypełniając przepisy „Stowarzyszenia Żywego Różańca"!

Niech nasze panie gospodynie domu jaknajliczniej zapisują się na zelatorki kółek stowarzyszenia, a służące swe niech namawiają do wstąpienia, jako zwyczajne członkinie!

Wtedy już zniknie u nas tak przykra dla pań kwestja sług.

Nie usłyszymy więcej narzekania od pań i nie ujrzymy smutnej twarzy Kasi i Marysi.

Stowarzyszona służąca zgodnie z przepisami powinna „szanować swoją zelatorkę", a tym samym wypełniać sumiennie i uczciwie wszystkie polecenia tej ostatniej. Pani zelatorka może obciążać służącą pracą nad jej siły, a w chwilach odpoczynku, o ile się te znajdą, polecać jej odmawianie tajemnic, bo „czuwanie nad dobrem duchowem" swoich członków jest „powinnością zelatorki", za co pani ta dostąpi 300 dni odpustu.

Marysia, pełniąc swe obowiązki, potrafi zwiększyć swój dochód nielegalny, gdyż jako członek „Żywego Różańca" po odmówieniu kilkuset zdrowasiek otrzyma odpust i zmazanie winy.

Idzcie!biegnijcie do parafji na ulicę Nowe Miasto—wszyscy! Pan i sługa, biedny i bogaty, wyzyskiwacz i wyzyskiwany, a z pewnością znajdziecie w „Żywym Różańcu", uspokojenie i rozkosz duchową! Znikną wtedy u nas anarchiści-komuniści, rewolucjoniści, marjawici i prawowici, a nastąpi tak upragniony błogi stan ciszy, spokoju, równowagi duchowej i niczem niezamącone używanie darów bożych.

Z większem jeszcze niż dotąd poświęceniem oddamy się studjom atletycznym i podziwiać będziemy Cyklopów, Abergów, a nawet osypywać kwiatami klasycznej budowy Frychtensk'ych!!!

O! bądź błogosławiony „Żywy Różańcu"!

Marc.

O małym chłopczyku z ewangelją w ręku

Powiastka niedokończona.

Mała ma lat dziewięć. Dużo czyta. Bodaj za dużo—ale trudno z tych zgorączkowanych rączek książkę wyjąć. Probuje pisać... Czy ma talent? czy ten talent się rozwinie?—Kto może sądzić; kto wie, jak rosną skrzydła poetyckie?

Mała ma duszę i probuje tę duszę wypowiedzieć, jak umie...

Wczoraj usiadła w kącie przy stoliczku swej mamy. Widziałem z pod okna, jak dłoń do czoła przyciskała długo, jak nerwowo odgarniała wciąż spadające na rękę sploty blond-włosów, jak niecierpliwie kołysała nożkami pod stolikiem. Wreszcie umoczyła pióro i jęła pisać...

Po niedługim czasie cicho na palcach podszedłem do niej, a nachyliwszy się, przez ramię małej czytać począłem:

„Był mały chłopczyk, który niósł ewangelję w ręku.
„Chłopczyk był bardzo mały—i bardzo grzeczny.
„A ewangelja była bardzo ładna, ze złotym krzyżykiem na okładce.
„Dostał tę książkę na urodziny.
„Ładną, czystą książkę. Bo jej żadne ręce nie trzymały jeszcze; nie powalały jej żadne.
„I niósł tę książkę—bo chciał ją zanieść swoim siostrzyczkom i braciom i usiąść z niemi w cichym kąciku—i czytać ją razem z niemi.
„Ale bracia i siostry mieszkali daleko...
„Bo bieda była w domu—i ojciec posłał wszystkie starsze dzieci na robotę.
„Mały chłopczyk z ładną ewangelją w ręku szedł do braci...
„Był szczęśliwy, bardzo szczęśliwy, że idzie do nich. Wyszedł rano i myślał, że zajdzie w południe...
„Ale zrobiła się noc—i deszcz zaczął padać...
„I mały chłopiec z ewangelją w ręku zabłądził...
„Przeląkł się bardzo. Byłby płakał, ale wstydził się mocno... I myślał, że jeśli szukać będzie, to drogę znajdzie...
„Więc poszedł na prawo: a tu przed nim trzęsawisko, okropne trzęsawisko... Ani stąpnąć. Śmierć niechybna... Brzydka śmierć w błocie...
„Więc poszedł na lewo: a tam góry, góry wysokie, skaliste... pełne przepaści i strasznych lodowców... I tu nie przejdzie... I tu złe czyha.
„Przed siebie szedł, nawprost. Myślał, że tędy droga do braci i sióstr będzie otwarta... Lecz bór wyrósł przed nim—bór gęsty, z dziwnych drzew, o gałęziach kolczastych W lesie tym było okropnie ciemno... A wiatr powstawał ciągle—i wtedy ostre gałęzie kierowały się ku chłopczykowi, jakby mu oczy wykłuć chciały... Nie! i tędy nie przejdzie...
„Wtedy cofnął się, ale już dawnej drogi swojej do domu nie znalazł... I zdjął go lęk mocny... Bo teraz i z czwartej, z ostatniej strony przejścia nie było... Oto przyszedł chłopczyk nad rzekę—nad wartką, dziwną rzekę.. Dziwną, bo rzeka była czerwona, a fale jej były z krwi... I przez taką rzekę dobry chłopczyk z ładną swoją książką nie mógł przejść... Bo choćby nawet bród znalazł, musiał by się powalać... i książkę zamoczyłby we krwi...

A wówczas gorzko zaczął płakać, bo myślał, że braciom i siostrom co byli na robocie,, niósł wielki odpoczynek i wielką radość... A teraz widział, że.. Mała przestała pisać. Odłożyła pióro i drobnemi palcami mocno pocierała jasne czoło...

— No, i jakże on przejdzie ten chłopczyk?—zapytałem znienacka...

Mała autorka powoli podniosła głowę, zwróciła na mnie oczy i cichym a przejmującym głosem zdradziła całą swoją autorską bezradność:

— Ja nie wiem... proszę pana.. ja nie wiem...

A gdy to mówiła, dwie łzy ogromne, świecące, stały w jej oczach...

Leo Belmont.

Przegląd Polityczny.

Przed kilkoma dniami Węgrzy obchodzili rocznicę powstania, które zapoczątkowało rewolucję 1848 roku. Uroczystość ta musiała, wobec ostatnich wypadków na Węgrzech, nosić charakter wyjątkowy. Konstytucja zdobyta 15-go marca 1848 roku, została zuchwale wydartą z rąk obywateli węgierskich i z praw przez konstytucję uświęconych pozostały tylko strzępy, pozostała ruina konstytucji, — karykatura praw ludowych.

W 1904 roku parlament węgierski odmówił gabinetowi Tiszy zatwierdzenia budżetu na rok 1905. Sytuacja wymagała dymisji gabinetu, lecz zamiast takiego normalnego załatwienia zatargu między rządem a parlamentem, król rozwiązał parlament, wskutek czego Węgry od 1-go stycznia 1905 roku, pozbawione zatwierdzonego budżetu, wstąpiły w okres prawie bezkonstytucyjny. Nowe wybory nie zmieniły sytuacji: opozycja nadal stanowiła większość i wystawiała swe żądania, król nadal odmawiał ustępstw i antikonstytucyjne rządy Tiszy, później Feierwary'ego, szydząc z ogólnej niechęci, zajmowały swe stanowiska rozporządzając dochodami i rozchodami niezatwierdzonego przez parlament budżetu. Naród węgierski wstąpił w otwarty konflikt z koroną i zdawałoby się, że opozycja, która potrafiła tyle hałaśliwych frazesów, tyle głośnych słów o patrjotyzmie i interesach narodowych

wygłosić, która uderzając się gwałtownie w pierś zaprzysięgała nie opuścić miejsc w parlamencie, „na których z woli narodu się znalazła“, — mogłaby się zdobyć na energiczniejszą akcję, gdy przedstawiciele narodu zostali przez wojsko usunięci z izby oraz wobec faktycznego cofnięcia konstytucji.

Ale właśnie, że opozycja bynajmniej nie ma zamiaru na serjo wystąpić w obronie pogwałconych praw narodowych. Liberalna opozycja węgierska nigdy poważnie opozycją nie była i w tej chwili mniej niż kiedykolwiek skłonną jest do rdzennego zatargu z rządem, a to wobec manewru politycznego, do którego uciekł się ten ostatni. Manewr ten polega na wystawieniu przeciwko skoalizowanej opozycji nacjonalistycznej pancerza z demokratycznych elementów kraju. Koalicja korony z masami ludowemi przeciwko burżuazyjnej opozycji miała już miejsce w historji; podobnej koalicji zawdzięczają też Niemcy swe powszechne prawo wyborcze do izby rzeszy i prawdopodobnie za tym przykładem poszedł rząd Feierwarego, gdy wobec skoalizowanej opozycji nacjonalistycznej zaapelował do szerokich mas społeczeństwa, wystawiwszy w swym programie demokratyczną reformę wyborczą... Zdawałoby się, że rządowi nic nie przeszkadzało wprowadzić tę zbawienną reformę. Skoro korona nie zatrzymała się przed cofnięciem konstytucji, gdy chodziło o odroczenie wyborów, mogłaby nieporównanie owocniej pogwałcić konstytucję, ogłosiwszy z góry powszechne prawo wyborcze. Im silniejsze byłoby wówczas oburzenie opozycji nacjonalistycznej, tem łatwiej mógłby je rząd wyzyskać dla zmobilizowania przeciwko niej tych klas społecznych które na reformie wyborczej skorzystają. Lecz tu, właśnie spotyka się rząd z opozycją na wspólnym stanowisku i od tego momentu rozpoczyna się nędzna gra augurów.

Rząd nie ucieka się do tego środka w obawie, że nowi wyborcy nie będą dość pewnemi sojusznikami; klasa robotnicza, która z chwilą wprowadzenia powszechnego prawa wyborczego wystąpi na widownię polityczną, będzie niemniej niż nacjonaliści węgierscy dbała o swą swobodę polityczną i nietykalność konstytucji, zaś w żądaniach reform będzie przemawiała językiem odmiennym niż Koszut czy Andraszy. Jest to więc broń obosieczna i dlatego rząd nie radby się do tej ostateczności uciekać.

Równocześnie i liberalna opozycja, zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa jakie jej z rąk rządu grozi, bynajmniej nie chciałaby go zmusić do zastosowania tej niebezpiecznej broni. Ztąd ta nędzna komedja, którą obie strony walczące grają, pogrążając kraj w anarchję polityczną. Opozycja wprawdzie, mimo wielokrotnych zawezwań, odmówiła objęcia steru rządowego, o ile korona nie ustąpi ze znacznej części swych praw, lecz zamiast prowadzić do końca rozpoczętą walkę, w ten sposób dać całemu społeczeństwu dowód bankructwa starego systemu, — zamieniła cały zatarg na pozbawioną większego znaczenia szopkę i dziś ta sama nieprzejednana opozycja z Koszutem na czele, ze źle udanym tryumfem, wstępuje do rządu. I tak się też zakończyć musiało.

Bo trudno od parlamentu węgierskiego żądać, aby używał środków, które Lassalle w swoim czasie określił jako taktykę rewolucyjną. Jest to już dlatego niemożliwe, że izba węgierska nie posiada w sobie ducha rewolucyjnego, natomiast jest ciałem nawskroś reakcyjnem. Zgromadzenie to nigdy nie było czem innym, jak kliką wyniosłej i do głupoty zuchwałej magnaterji węgierskiej, której ciasne koterje bezczelnie nazywały się partjami, —a mającej jedynie na celu zdobycie władzy. Znak „liberalizmu“, był przez nią w ciągu 30 lat wystawiany jedynie dla tego, że firma ta wywierała dodatnie wrażenie na międzynarodowej giełdzie, o której sympatje wojowniczy przedstawiciele „interesów narodowych“ zawsze dbali. Lecz pozatem byli ci „liberałi“ tak samo konserwatywni, jak cała magnaterja węgierska i w parlamencie panował niepodzielnie jedyny prąd i ten był rdzennie reakcyjny, bez względu na to zkąd brał swe źródło,— czy w opozycji czy nie. Trudno więc żądać, aby ci magnaci szczerze zapragnęli się rozstać z tą cudną idyllą, w której tyle pięknych lat przeżyli. A zwrócić się do szerszych mas narodu o poparcie w walce i na masach się oprzeć „liberalna opozycja“ nie śmie. Płaszczyk „narodowych interesów“, którym się kamaryla magnacka udekorowała spada z jej ramion i kto wie czy obudzony naród nie zapragnie przedewszystkiem uwolnić się od tych nieproszonych opiekunów. Wszystkie prawa, które od 1897 roku zostały w pałacu węgierskim wygotowane są jednym ciągiem uprawnionych gwałtów, który nie posiada równego sobie w dziejach. Dzięki tym prawom „wyzwoleni“ pracownicy rolni oddani zostali na łup feudalnych magnatów, którzy posuwają wyzysk do granic niebywałych; nigdy nie podporządkowali ci przedstawiciele interesów narodowych, żadnego z interesów swej kasty interesom ogółu. Gdy w 1848 roku Maurycy Perzels przedstawił uchwałę, mającą na celu uwolnienie ludności rolnej od ciążących na niej długów podatkowych, celem zachęcenia jej do walki o wolność—jednym z pierwszych, którzy się temu projektowi sprzeciwili, był narodowy święty Ludwik Koszut, natomiast uchwalił on zapomogę ze skarbu narodowego dla właścicieli ziemskich, którzy na ruchu rolnym ucierpieli. „Narodowa“ polityka Ludwika Koszuta przeszła obecnie w tradycję, jeno epigoni jego prowadzą ją z coraz to większą konsekwencją. Dlatego też nie należy brać poważnie tej efemerycznej opozycji; pogodziła się ona dziś z koroną i skoro tylko będzie korzystała z węgierskiego prawa wyborczego, zapomni o krzywdach wyrządzonych przez koronę narodowi wygierskiemu.

Lecz fatum dziejowe wnzosi już tamę tej polityce obłudy i wyzysku. Echo reformy wyborczej odbiło się w szerokich masach, które głośno o swe prawa domagać się poczynają. Klasa robocza rządowego dosięgnie, zakończy raz na zawsze te awantury polityczne „prawdziwie narodowej“ polityki.

Marjan Aleksandrowicz.

SPROSTOWANIE. W N-rze 3 w art. Jak się zmieniają konstytucje?—pozostały następujące błędy druku:

Str. 26 szp. 1. w. 32 od dołu zam. broniącej; pow. być tworzącej szp. 2. w. 31 od dołu zam. Anglji pow. b. Austrji. Str. 27. szp. 1. w. 16 od góry zam. samo unieważnianie, pow. być samounieważnianie; w. 24 od go zam. Kemicje, pow. być Komicje — Str. 28, szp. 1, w. 13 odg. zam. Rousseauta—pow. b. Rousseau; w. 19 od g. zam. rozwojowe pow. b. wolnościowe; szp. 2, w. 8 od g. zam. dyscypliną partyjną, które łamią, pow. b. dyscyplinę partyjną, która łamie.

W „Epizodzie z wojny 1831 roku" w № 3 winno być: na str. 33. szp. 2. wiersz 11 od dołu zamiast tedy—tędy odwrotu poszuka, na str. 34. szp. 2 wiersz 10 od góry—zamiast „nieuciekam" — noc ucieka, wiersz 6 od dołu zamiast Dziś za armję—Tyś za armję...

OGŁOSZENIA.

TREŚĆ NUMERU: O równe prawo wyborcze przez *Wł.*—Drogi i zadania nowoczesnej filozofji przez *St. Brzozowskiego.*—Feralny tydzień przez *Janusza Korczaka.*—Targowica przez *Benedykta Hertza.*—Kanonicznie utwierdzone ogłupianie ludu przez *Mare.*—Przegląd polityczny.

Redaktor i Wydawca **A. MILLER.** Drukiem A. Wiślickiego, Długa 23.